Nr 43 (50)

Z. KWIECIŃSKA

KOPANIE KARTOFLI

Władek przyszedł do wsi, gdy słońce już z zenitu na drugą stronę nieba chylić się poczęło. Dzień był wyjątkowo ciepły, cisza stała wokoło, taka prawdziwa jesienna cisza, tylko pod nogami szeleściły złote liście. Władek rozpiął palto i przełożył ciężki pakunek z lewej ręki do prawej.

— I po co to mama te pakunki do cioci posyła — gderał w myśli — wszystko jedno trzeba będzie z powrotem nieść.

Bo to już tak było — gdy tylko dostali na przydział coś dobrego, zaraz mama to odkładała i posyłała cioci bo „oni na wsi tego nie mają". I za każdym razem ciocia się oburzała.

— Cóż to? Czyż my nie mamy co jeść czy co? Sobie od ust odejmują i nam przysyłają.

Efekt był taki, że Władek wędrował z powrotem do domu jeszcze bardziej obładowany osełkami masła, serami, słodkimi ulęgałkami.

U ciotki nie zastał nikogo. Drzwi na kłódkę zamknięte, po podwórzu leniwie łaziły kury, Burek po przyjacielsku zaszczekał i machnął kudłatym ogonem. U sąsiadów też nie było nikogo. Władek usiadł na małej ławeczce pod ścianą i nudził się patrząc przed siebie w szare pola. Za płotem mignęła mu postać starej zielarki Matysiakowej. Szła uginając się pod ciężarem niezliczonej ilości woreczków i kobiałek i podśpiewywała sobie cieniutkim drżącym od starości głosem. Władek podbiegł do niej.

— Dzień dobry Matysiakowa! Nie wiecie gdzie wszyscy poszli?

Długo przyglądała mu się mrużąc maleńkie w sieci zmarszczek ukryte oczka.. Wreszcie poznała.

— Ach to ty! Takeś wyrósł, że cię nie poznałam. Cóż ty robisz? Gdzie teraz mieszkasz?

Władek przed tygodniem był we wsi i staruszka o to samo go wypytywała. Ale Matysiakowa miała już przeszło 90 lat i zapominała to, co się wczoraj do niej mówiło.

— Gdzie wszyscy wyszli? — powtórzył pytanie Władek.

— A gdzieżby? Ziemniaki kopać. Idź na „wydymaj", tam są wszyscy.

Pole pod lasem, za górką od ciągłych wiatrów nazywano „wydymajem".

Władek schował głęboko pod ławeczkę swój pakuneczek, pogładził Burka i poszedł. Nie było sensu siedzieć i czekać tu do wieczora.

Na „wydymaju" zebrana była cała gromada — ciotka z wszystkimi swoimi pięcioma córkami i Wikcią sierotą, którą podczas wojny przygarnęli i tak już u nich została jak swoja, i Klimczakowie, którzy jakoś wcześniej ze swoim się uporali i teraz przyszli pomagać.

— O, Władek idzie! — krzyknęła najstarsza Wanda, opierając się na motyce i rozprostowując na chwilę plecy.

Wszyscy podnieśli głowy znad roboty. Kaśka nawet rzuciła koszyk i pobiegła witać się z bratem. Ale ciotka nie lubiła zbytnich czułości wtedy, gdy czasu mało było.

— Władek! — krzyknęła — nie odrywając się od roboty — dobrze żeś przyszedł. Weźno motykę, tam leży wolna, i pomagaj. Widzisz jakeśmy się spóźnili. Wszyscy już wykopali, a u nas jeszcze ziemniaki w polu. Lada dzień przyjdzie słota i wszystko przepadnie. Bez mężczyzny trudno w gospodarstwie. Gdyby wuj żył, inaczej by wszystko wyglądało.

Władek złapał motyczkę i zaczął prędko kopać tam, gdzie mu ciotka pokazała. Ale wprawy nie miał. Co motyką ciapnie, to ziemniak na pół przetnie. Aż się zasapał, aż się spocił. I taki wstyd przy tym. Inni jakoś spod krzaka tyle wykopują, że strach, a on nic znaleźć nie może.

— Nie obrodziły jakoś tego roku ziemniaki — powiedział jakby chcąc się usprawiedliwić.

— Co też ty opowiadasz? — oburzyła się Józka. — A toż już dawno takich ziemniaków nie było jak tego roku.

Ale ciotka, która nie jednego już nauczyła w polu pracować i miała doświadczenie, zauważyła:

— Wy tam popatrzecie jak on kopie. Żeby zaś wszystkiego w ziemi nie zostawił. Pokaż mu, Wanda, jak to robić. A ty Władek nie spiesz się. Kto się spieszy — ten ludzi naśmieszy. Lepiej powoli o dobrze.

Więc Władek już kopał powoli, starannie, grzebał rękami w ziemi, wybierał wszystkie ziemniaki, co do jednego. A wesoło było przy tej robocie. Wikta z Józką kopały na wyprzódki, kto więcej, kto prędzej i tak się spieszyły, aż rozmawiać nie miały czasu. Od czasu do czasu tylko wykrzykiwały:

— Ja już trzeci koszyk kopię!

— A ja już mam pół czwartego.

Wanda wykopała trzy ziemniaki razem zrośnięte.

— Patrzcie, co znalazłam.

A Hanka zawyrokowała:

— Taki ziemniak szczęście przynosi.

Aż ciotka parsknęła śmiechem.

— A ciebie kto takich głupstw nauczył? Wanda i bez ziemniaka szczęście będzie miała, bo pracować umie. Jej się robota w rękach pali. Taki człowiek nie zginie w życiu.

Znowu kopali w milczeniu i słychać było tylko ciapanie motyk i głuche stukanie ziemniaków rzucanych do kosza.

— Władek, możeś się zmęczył, to se trochę odpocznij — zaproponowała ciotka. — Usiądź se na koszyku i spocznij chwilę. Tyś nie zwyczajny przecie takiej roboty.

Władkowi pot zalewał oczy i serce biło, aż zdawało się, że chce wyskoczyć z piersi, ale się nie przyznawał. Cóż to on niedołęga jakiś, czy co? Wszyscy pracują a on będzie odpoczywał? Ale odetchnął z ulgą, gdy ciotka powiedziała:

— No, zmierzcha się. Na dzisiaj dosyć. Jutro skończymy.

Wszyscy powoli schodzili z pola ciągnąc za sobą kosze i motyki. Władek wyciągnął się jak długi na rozesłanej koło miedzy płachcie.

— Aleś się zmęczył — zaśmiała się ciotka. — Widzisz, jak to trudno te zwykłe ziemniaki zdobywać. Wy tam w mieście ani o tym wiecie. Ale nie leż. Od ziemi ciągnie, jesień już przecie. Ej, dzieci — zakomenderowała — cóż to tak z pola zejdziemy, bez niczego?

Więc cała gromada, która już przykucnęła przy ziemi, poderwała się znowu. Najruchliwsza z wszystkich Wikta, pierwsza zaczęła suchą nać ziemniaczaną znosić i układać z niej stos. Szurnęła zapałka i sinawy dymek zaczął przeciskać się przez suche łodyżki. Władek z Wandą przynieśli z pobliskiego lasku sosnowych gałęzi. Ogień wzbił się pod niebo, wesoły, trzaskający, pryskający wokoło złotymi iskrami. Znikło bez śladu zmęczenie. Biegali do utraty tchu po polu znosząc nacinę, gałęzie, wszystko co tylko mogło się palić. Ściemniło się zupełnie i twarze mokre od potu wydawały się w świetle ogniska złote. A gdy ogień przygasł, ciotka wprawną ręką, w gorący, żarzący się jeszcze popiół wsunęła ziemniaki. Teraz siedzieli wszyscy spokojnie naokoło, grzejąc ręce, bo po zachodzie słońca chłodno się zrobiło. Wikta zaczęła opowiadać bajki, bo ona tych bajek znała niezliczone ilości. Kto ją tam wie zresztą, może sama je wymyślała, ale były takie ładne, że nie tylko dzieci, ale i dorośli chętnie ich słuchali. Nawet nauczyciel, mówił w szkole, że Wikta jest bardzo zdolna i że pewno będzie z niej kiedyś wielka pisarka.

Ciemno już było zupełnie, gdy wracali do domu. Aż do wsi wlókł się za nimi dym ogniska i wspomnienie prześlicznych opowieści Wikty. Bolały ręce, plecy i nogi. W izbie Władek czekając na kolację usnął przy stole z przygotowaną już łyżką w ręku. Śpiącego ciotka rozebrała i ułożyła w wielkim łóżku. I całą noc śniło się Władkowi wielkie ziemniaczane pole z płonącym ogniskiem po środku.

Irena Krzywicka

Prezes W. K. O.

Pewnego dnia przyszedł do nas znajomy pan z małą walizką w ręku. Otworzył walizkę. Na dnie siedziała żywa, śliczna wiewiórka z podniesionym ogonkiem i uważnie patrzała na nas bystrymi oczkami. Nie bała się, nie uciekała. To był podarek dla mnie. Byłam uszczęśliwiona. Pomyśl tylko: w zwyczajnym, miejskim mieszkaniu żywa wiewiórka i w dodatku oswojona. Patrzyłam na nią i patrzyłam, ale bałam się jej dotknąć, aby jej nie przerazić. Dałam jej kawałek cukru. Wzięła. Usiadła wygodnie na tylnych łapkach, długi ogon zarzuciła sobie na ramię, a w przednie łapki, zupełnie przypominające maluchne rączki z długimi palcami, chwyciła cukier. Obracała go w tych rączkach przez chwilę, jak człowiek, albo jak małpka, powąchała go parę razy, a potem zaczęła prędko, prędko skrobać przednimi ząbkami. Po chwili zresztą cisnęła cukier precz, wyskoczyła z walizki, rozejrzała się dokoła i zaczęła biegać po pokoju.

Co to były za skoki, co za biegi z przeszkodami. Ze stołu na szafę, z szafy na piec, z pieca na podłogę, z podłogi na krzesło, hyc, hyc, śmigała jak strzała. Ale widać było, że nie boi się zupełnie, po prostu chciała wszystko obejrzeć. Tu i tam stawała, wąchała, sprobowała ząbkiem, obejrzała, pomyślała chwilę i biegła dalej. Znajomy pan powiedział, że jest przyzwyczajona do klatki i do posłania z gałganków. Wszystko znalazło się w jednej chwili i wiewiórka zaraz spostrzegła swój domek. Skoczyła mi na głowę, potem na ramię i od razu skok do klatki.

Najpierw zrobiła sobie posłanie. Okazało się, że nie umiem ułożyć gałganków. Zaczęła sama je ściągać i szarpać, deptać tylnymi łapkami i śmiesznie uklepywać przednimi, skubać i zwijać, aż wreszcie spiętrzyła całą górę, jak pianę z białka, po czym zakopała się w tym wszystkim z głową. Po chwili wyjrzała ciekawie, jakby chciała się przekonać, czy podziwiam jej robotę i znów nurknęła do środka. Musiało jej być ciepło, jak pod pierzyną. Zasnęła widocznie głębokim snem, bo nie poruszyła się więcej.

Tak, ale tylko do kolacji. Ledwośmy siedli do stołu, wiewiórka hyc na stół. Siedzi i patrzy na nas, co jemy. Każdy kęs odprowadza wzrokiem. Dałam jej znów kawałek cukru. Nie wzięła, uciekła, że niby się tak strasznie przeraziła. Ale to było zwykłe udawanie, bo po chwili znów skoczyła na stół i najbezczelniej w świecie porwała mi z talerza kawał kartofla. Uciekła z nim na kredens i nuż go obracać w łapkach, wąchać, nadgryzać, pluć. Nakruszyła, naśmieciła i znów wróciła na stół po więcej. Dostała kawałek chleba. To już było lepsze. Na znak zadowolenia została na stole i obracając szybko w rączkach skóreczkę chlebową gryzła, gryzła, gryzła prędko, jakby nie miała chwili czasu.

Podsunęłam jej spodek z mlekiem. Bardzo dobre. Opadła już po zwierzęcemu na cztery łapki i piła jak kot. Potem, zadowolona, zaczęła znów taniec po pokoju z mebla na mebel, z klamki na kredens, z lampy na stół, ze stołu aż na łóżko do sąsiedniego pokoju, aż się w głowie kręciło.

Odtąd już tak skakała od rana, fruwała prawie po całym mieszkaniu, ale w porze posiłków pierwsza zjawiała się na stole i umiała czekać spokojnie i cierpliwie, aż podadzą jedzenie.

Straszna była żebraczka. Dość było usiąść na chwilę, żeby zaraz skoczyła na kolana i znów wyciągała tę swoją proszącą łapkę. Podeszło się do okna, już siedziała na parapecie i błagała o jałmużnę. Zaglądała w oczy, wyciągała to jedną rączkę, to drugą i prosiła, prosiła. Można by pomyśleć, że umierała z głodu, taka była natrętna. Ale jak tylko dostała orzech, chleb czy cukier biegła pośpiesznie i chowała

go w jakim kącie, a potem wracała i prosiła znowu.

— Idź sobie, ty wstrętna żebraczko — wołałam oburzona. — Tylko jej dawać i dawać, a ona sobie chowa na czarną godzinę, bogaci się aż strach i tylko udaje głodną?

Nazwaliśmy ją Panem Prezesem Wiewiórczej Kasy Oszczędności — od pierwszych liter W.K.O. Zaczęliśmy na nią wołać: Panie Prezesie W.K.O. I co powiesz? Zrozumiała w krótkim czasie, że to jej imię i przychodziła na wołanie. To było strasznie śmieszne, zwłaszcza dla obcych ludzi, dla gości.

Mówiło się im: zaraz tu poproszę pana prezesa i goście myśleli, że za chwilę pojawi się gruby, starszy pan z łysą głową (tak przeważnie wyglądają prezesi), a tu na wołanie: „Panie prezesie, szanowny panie prezesie W.K.O." wyskakiwała z jakiegoś kąta puszysta wiewiórka, stawała przed gościem i wyciągała prosząco łapkę. Niegodziwa, skombinowała już, że żaden gość nie odmówi jej jałmużny!

Niestety, pan prezes był nie tylko żebrak, ale i złodziej! Kradł co się dało, najczęściej jedzenie, ale czasem też różne okrągłe, błyszczące przedmioty (może myślał, że to jakieś tajemnicze owoce), klocki dzieciom, szpulki nici, różne drobiazgi. Ukradzione rzeczy chował w różnych skrytkach, pod dywanem, za kredensem, między książkami, w butach i pantoflach, w kieszeniach palt w przedpokoju. Nie raz gość wychodząc, wyciągał z kieszeni, ze zdumieniem rozgniecioną wiśnię, albo kawałek czerstwego chleba, nie raz nie można było buta wciągnąć na nogę, bo coś zawadzało, a tym czymś był kawałek białego sera, albo marchwi! Głuptas, prezes, specjalnie lubił chować swoje skarby w półbutach mego męża i to wtedy, kiedy mąż je miał na nogach. Często podczas obiadu lub kolacji wymadlał coś ze stołu, albo zgoła kradł, zeskakiwał na ziemię i pchał przemocą memu mężowi cukier czy orzech między przyszwę pantofla a stopę. Umordował się przy tym niemało, niszczył czasem skarpetkę, ale swego dopiął — wetknął!

Mąż mój przychodząc do domu, wołał jeszcze w przedpokoju: „Panie prezesie! Szanowny panie prezesie W.K.O. Proszę przeprowadzić rewizję!" I prezes natychmiast się zjawiał i rozpoczynał gorączkowe poszukiwania po kieszeniach pana domu: cztery kieszonki w kamizelce, jedna z tyłu spodni, trzy w marynarce, o żadnej nie zapomniał. Wreszcie w którejś znajdował orzech, zbiegał czym prędzej na dół po panu, jak po moście, wtykał mu orzech w pantofel i kontent z siebie, pewny że z głodu w przyszłości nie umrze, odbiegał do innych zabaw.

Raz szanowny pan prezes o mało nie przyprawił naszej sąsiadki o atak serca. Po prostu znudziło mu się w naszym mieszkaniu, a że już była wiosna i okna były otwarte, zszedł sobie w jakiś tajemniczy sposób po murze na niższe piętro, albo z balkonu naszego skoczył na niższy balkon. Tam znów skoczył na okno sąsiedniego pokoju, poprzewracał doniczki, zdemolował drobiazgi na komodzie, pozrzucał co się dało na podłogę i schował się w łóżko, pod poduszkę. Sąsiadka, usłyszawszy hałas weszła do pokoju, zobaczyła ze zdumieniem straszny nieporządek, a przecież wiedziała, że nikogo w pokoju nie było. Przeraziła się, że to chyba duchy, aż tu jakiś rudy czort wyskakuje z jej łóżka i skacze jej prosto na głowę. Paniusia narobiła strasznego krzyku, zemdlała, a jej córka zaczęła gonić go po całym mieszkaniu, jak szalona. A pan prezes urządził sobie wyścigi, aż miło! Córka sąsiadki wspina się po krześle na szafę, a on już pod stołem, ona pod stół, a on już na drzwiach u góry i drapie się za uchem.

Ach, mogłabym długo opowiadać o panu prezesie, jak tańczył niby nakręcona zabawka, na sztywnych łapkach, podrygując śmiesznie kitą, jak śpiewał podczas tańca dźwiękiem, przypominającym mlaskanie, jak odróżniał z jakiej fabryki pochodzą cukierki: od Wedla zjadał chętnie, od Plutona wypluwał, jak wyleciał przez okno na podwórze i zakrwawiony wrócił po schodach i trafił, naprawdę nie wiem, jakim cudem, do naszych właśnie drzwi.

Ale najdziwniejsze było, kiedy nadeszło lato. Wyjechaliśmy na wieś i zabraliśmy prezesa w klatce. Postawiliśmy klatkę w ogrodzie i powiedzieliśmy smutnie: „Żegnaj, panie prezesie, dobrze nam było z tobą. Ale idź na swobodę, nie zobaczymy się więcej". Prezes wyskoczył z klatki, wspiął się na drzewo, mignął jak błyskawica i tyleśmy go widzieli. Przykro nam było, ale cóż robić. Po paru godzinach siedliśmy na werandzie do obiadu. Aż tu szelest w gałęziach i coś spada na stół. Pan prezes przyszedł na obiad. Gdzieżby taki żarłok darował jedzenie.

I odtąd pan prezes zjawiał się na każdy posiłek, jakby miał zegarek w łebku. Zamieszkał na dachu, gdzie sobie zrobił gniazdo, ale zjawiał się na każde wezwanie. Dość było zawołać: „Panie prezesie! Szanowny panie prezesie WKO". a natychmiast rozlegał się szelest w dalekich często drzewach, rudy płomyk migał po gałęziach i spadał w postaci puszystej kulki na głowę, na ramię, albo na ręce, tulił się, łasił, pieścił no i żebrał, że jest głodny, że już nie może wytrzymać, że przecież musi zaoszczędzić jedzenie na starość.

Powiedz, kochanie, czy można było takiego miłego zwierzątka nie kochać?

Ale pan prezes spotkał na drodze złych ludzi. Pewnego dnia przybiegł do nas chłopiec z sąsiedztwa wołając, że nad rzeką łobuzy chcą złapać wiewiórkę i że to pewno nasza. Pobiegłam co tchu i co zobaczyłam? Na samotnej olsze nad rzeką siedział uczepiony najwyższych gałązek pan prezes śmiertelnie przerażony, a dokoła drzewa gromada wstrętnych chłopaków ciskała w niego kamieniami i dzikim wrzaskiem usiłowała go spłoszyć. Wpadłam, jak burza, pomiędzy nich, krzyknęłam co siły w piersiach, żeby natychmiast przestali, byłabym ich roztrzęsła. Łobuzy cofnęły się o parę kroków, przestały krzyczeć i rzucać kamienie, ale tylko na chwilę. Znów podbiegły do drzewa, ale już na nim nie było pana prezesa. Spostrzegłszy, że biegnę z pomocą, zeskoczył na ziemię i popędził co tchu w stronę domu, gdzie wśród gęstych drzew był już bezpieczny.

Wróciłam i ja do domu, ale na próżno szukałam i wołałam. Pana prezesa nie było. Nadeszła pora obiadu, potem kolacji, pan prezes się nie zjawił po raz pierwszy. Było mi okropnie przykro. Byłam pewna, że któryś z niegodziwych chłopców trafił go jednak kamieniem i zranił śmiertelnie. Szukałam między drzewami rannego albo zabitego zwierzątka, ale na próżno.

Zaczęłam słać łóżko i oto co widzę: pod poduszkami i kołdrami, na samym dnie siedzi biedny pan prezes, zupełnie zdrowy, tylko śmiertelnie wystraszony. Poczuwszy moją rękę wskoczył mi na piersi, wlazł pod brodę, tulił się, chciał się zrobić jak najmniejszy. Pieściliśmy się długo. Tej nocy spał ze mną. I od tej pory nie wrócił już do swego gniazda na dachu.

I tak przebył z nami całe lato, coraz milszy, coraz mądrzejszy, coraz lepiej rozumiejący każde słowo. Porobił sobie wspaniałe spiżarnie na dachu i po wszystkich kątach. Ale kiedy przyszła jesień pojechał z nami do miasta. Nie można go było zostawić samego na wsi, był już tak oswojony, że byłby zginął w samotności. Kochał nas i myśmy go kochali. I tybyś go kochał także, prawda kochanie?

MARIA KONOPNICKA

KOSZAŁEK-OPAŁEK U PASTUSZKÓW

Czytaliście prześliczną bajkę Marii Konopnickiej „O krasnoludkach i sierotce Marysi? Pamiętacie śmiesznego Koszałka - Opałka, który cały rok, szukając wiosny, wędrował po świecie, a co zobaczył, to zapisywał w wielkiej księdze. Posłuchajcie więc, jak to ten czcigodny Koszałek-Opałek zawędrował na pole, gdzie pastuszkowie palili ognisko i jak się przestraszył trzasku pękających w ogniu ziemniaków.

Tu przechylił głowę, zmrużył lewe oko i, podpisawszy u brzegu karty: „Koszałek - Opałek, Nadworny Historyk Króla Jegomości Błystka", — uczynił misterny a szeroki zakręt.

Tymczasem z tamtej strony płota zaleciał go miły dymek jałowcowy, w którym się Krasnoludki szczególnie lubują. Pociągnął Koszałek-Opałek wielkim swoim nosem raz, pociągnął drugi raz, a rozchyliwszy chrusty, począł pilnie patrzeć, skądby ów dymek szedł. Jakoż ujrzał pod borem siny, wijący się sznurek, a gdy dobrze okulary przetarł, zobaczył w polu niewielkie ognisko i siedzących dokoła niego pastuszków.

Poczciwy Krasnoludek niezmiernie dzieci lubił; puścił się tedy ku ognisku na przełaj ugorem, kierując się wprost na ów dymek i pociesznie przeskakując bruzdy.

Zdumieli się pastuszkowie, zobaczywszy małego człowieczka w podróżnej rzemieniem podpasanej opończy z kapturem, z księgą pod pachą, z kałamarzem u pasa i z piórem na ramieniu.

Zaraz też Józik Srokacz trącił w bok Stacha Szafarczyka i, pokazawszy palcem owego człowieczka, szepnął:

— Widzisz? Krasnoludek!

A Koszałek - Opałek był już blisko i uśmiechał się przyjaźnie do dzieci, kiwając głową.

Dzieci pootwierały usta szeroko i wpatrzyły się w niego jak w tęczę. Nie bały się przecież, tylko je ogarnął dziw nagły. Nie bały się bo każde wiedziało dobrze, iż Krasnoludki nikomu krzywdy nie czynią, a jak ubogim sierotom, to i pomagają nawet. Jakoż Stacho Szafarczyk przypomniał sobie zaraz, że kiedy mu cielęta zaprzeszłej wiosny uciekły do lasu, takusieńki maluśki człowieczek pomógł mu je wyszukać i na pastwisko zagnać. Jeszcze go pogłaskał i poziomek mu w czapkę nasypał, mówiąc:

— Nie bój się! Naści, sieroto!

Tymczasem Koszałek - Opałek do ogniska podszedł i, wyjąwszy fajkę z zębów, przemówił grzecznie:

— Witajcie, dzieci!

Na co pastuszkowie odrzekli z powagą:

— Witajcie, Krasnoludku!

Ale dziewczynki skuliły się tylko i naciągnąwszy chuściny na czoła, tak, że im ledwo czubki nosów było widać, wytrzeszczyły na przybysza niebieskie oczęta.

Koszałek - Opałek popatrzył na nie z uśmiechem i zapytał:

— Czy mogę się pogrzać przy waszym ognisku? Bo zimno! Brr...

— Jużci, że mogą! — odpowiedział rezolutnie Jaśko Krzemieniec.

— My ta nie takie zazdrościwe!— dorzucił Szafarek.

A Jaśko Srokacz:

— Niech se Krasnoludek siędą! godne miejsce!

I namykał poły od siwej sukmanki, czyniąc mu miejsce przy ognisku.

— A dopieką się ziemniaki, to se i pojeść mogą, jeśli wola! — dorzucił gościnnie Kubuś.

Tak inśi:

— Pewnie, że mogą! Ino patrzeć, jak się dopieką, bo już duch idzie od nich.

Siadł tedy Koszałek - Opałek i, pogładzając mile po rumianych twarzyczkach pastuszków, mówił z rozrzewnieniem:

— A mojeż wy dzieci kochane! A czymże ja wam odsłużę!

Zaledwie to jednak powiedział, kiedy Zośka Kowalczanka, zakrywszy wierzchem ręki oczy, zawołała prędko:

— A to nam bajkę powiedzą...

— Iii!... Co tam bajka — odrzekł na to Stacho Szafarczyk z powagą. — Zawszeć prawda je lepsza, niż bajka.

— Pewnie, pewnie, że lepsza! — rzekł Koszałek - Opałek. — Prawda jest ze wszystkiego najlepsza.

— Ano jak tak — zawołał wesoło Józik Srokacz — to niechże nam powiedzą, skąd się Krasnoludki wzięły na tym tu świecie?

— Skąd się wzięły? — powtórzył Koszałek - Opałek, i już się zabierał powiadać, gdy wtem ziemniaki zaczęły pękać z wielkim hukiem. Zaczem ruszyły się dzieci wygrzebywać je patykami z żaru i z popiołu.

Uczony mąż wszakże przeląkł się srodze owego nagłego huku i, skoczywszy w bok, stanął za polnym kamykiem; dopiero z tej fortecy przypatrywał się dzieciom, jedzącym jakoweś okrągłe i dymiące kule, których nie znał. Zaczem rozwarł księgę i, oparłszy ją na owym polnym kamyku, takie w niej słowa drżącą ręką pisał:

„Lud w tej krainie tak jest wojenny i mężny, iż drobne dzieci pieką w gorącym popiele kartaczowe kule, które gdy w żarze z trzaskiem pękać poczną, co jest całkiem niebieskiemu grzmotowi podobne, wtedy chłopcy, od pieluch już śmiercią gardzący, a i mdłe dziewczątka nawet wygrzebują one pękające z okrutnym hukiem kartacze i dymiące jeszcze wprost do gęby kładą. Czego naocznym bywszy świadkiem, a wydziwować się takiemu rycerskiemu animuszowi nie mogąc z goła, ku wiecznej pamiątce potomnych rzecz tę zapisuję. Dan w polu na ugorze, o przedwieczorowej porze".

Po czym następował podpis i zakręt zamaszystszy jeszcze, niżeli poprzedni.

Tymczasem rozszedł się w polu tak smakowity zapach pieczonych kartofli, iż uczony mąż poczuł nagle jakowąś czczość w sobie i głośne burczenie żołądka.

A widząc, że one kartacze pękające najmniejszej szkody pastuszkom nie czynią, że się, owszem, dzieci aż po brzuszynach głaszczą od owego wybornego jadła, wyszedł zza kamyka, ostrożnie i zwolna się do ogniska przybliżył. Zaraz też Zośka Kowalczanka ukruszywszy nieco ziemniaka podała mu go na gałązce chrustu, zachęcając, aby brał i jadł. Nie bez trwogi Koszałek - Opałek wziął oną kruszynę w usta, ale wnet posmakowawszy wyciągnął rękę po więcej. Kruszyły tedy dziewczątka co najpiękniej dopieczone ziemniaki i, po oskubince mu dając tak się z nim oswoiły, że Kasia Balcerówna ostatni kęsek sama mu w usta włożyła, na co wszystkie, a najgłośniej Kasia, zapiszczały z okrutnej uciechy.

Lucyna Krzemieniecka

Wędrująca Chryzantemka

Jesienią przyszła do cieplarni ciotka Kwiatkówna. Przywitała się z panem ogrodnikiem i mówi:

Jestem ja Kwiatkówna
z miłych kwiatków rodu
Kwiatkowie sie w kwiatkach
lubują od młodu.

— Ano, jest chryzantem tyle, powiada ogrodnik mile.—Da ciotka co się należy, to sobie jedną wybierze.

— Dobrze — mówi ciotka i spogląda na chryzantemki.

Jedna jest różowa
druga blado-lila
dalej rządek białych
wdzięczne główki schyla.
A była tam jedna złota, co miała błyski czerwone i „ach" zaraz ciotka skoczyła w tę stronę.

Przyjrzała się chryzantemce i mówi do ogrodnika:

Ma złotą czuprynkę
w niej czerwone błyski —
marzyłam o takiej
chyba od kołyski.
Do innych się życie
czym innym uśmiecha
dla Kwiatkówny kwiatek
jedyna pociecha.

I gadu, gadu zaczęła się ciotka z ogrodnikiem targować o cenę. Nagle zrobiło się ciemno w cieplarni, bo co też to się stało na dworze.

Naszły chmurki,
naszły mgiełki,
Deszcz rozsypał
swe perełki.
Już świat cały
w deszczu pływa.
Jesień, jesień
to prawdziwa.

Wyjrzała Kwiatkówna z cieplarni przez okno i woła: „Deszcz straszny, pantofle mi zmokną". A ogrodnik w śmiech: „Niech ciotka postoi, kwiatuszek sam pójdzie, deszczu się nie boi".

Słysząc takie pozwolenie pana ogrodnika, chryzantemka szmyrg z cieplarni, chyłkiem się wymyka. Tak sobie pobiegła, jak dziewczynka gładka, w złocistej czuprynce, w listeczkowych szatkach.

Wyszła na ulicę, patrzy, idą kwiatki tulipanki, róże, konwalijki, bratki. Pyta chryzantemka zdziwiona, jak dzięcię: „Coście wy za kwiatki i dokąd idziecie?"

A były to dzieci przebrane za kwiaty. „My idziemy — mówią— w królewskie komnaty. Bo w tym złotym zamku, co stoi na górce król dziś bal wyprawia swojej małej córce".

Pyta chryzantemka: „Czy mogę iść z wami? Miło mi tam będzie na balu z kwiatami".

— Ależ, chodź, prosimy powiadają dzieci. Masz śliczny ubiorek, aż z daleka świeci. Jedwabna czuprynka w niej czerwone błyski, będziesz się na pewno podobała wszystkim. I poszli. Był napis przed zamku wrotami: „Wszystkie kwiatki z miasta na bal zapraszamy". Idzie chryzantemka do kró-

lewskiej sali, po złoconych schodkach idzie coraz dalej. Sala kryształowa sufity srebrzone, w sali, jak w ogrodzie kwiatki zgromadzone.

(Dokończenie nastąpi)

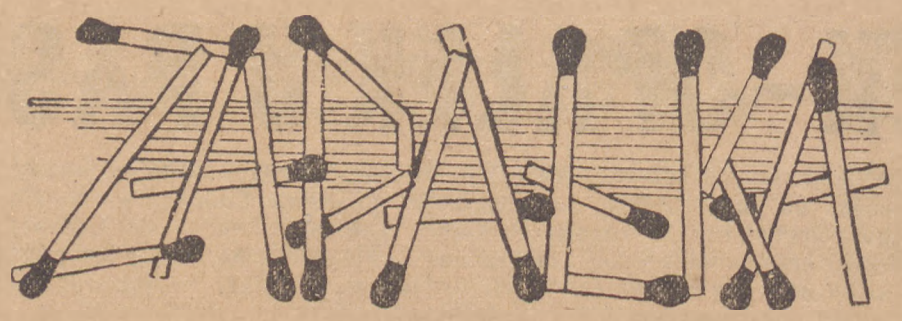

Mówiła dumnie zapałka:
— „Pokażcie takiego śmiałka,
Co w domu zadarłby ze mną,
Gdy nagle zrobi się ciemno?

Doprawdy słońce jest niczem
Ze swym błyszczącym obliczem,
Bo tylko w dzień świecić może,
A ja zaś — o każdej porze.

— „To ci heca!“ —
Rzekła świeca.

Zapałka na to zuchwale:
— „Gdy zechcę, świat cały spalę,
I choć nie lubię się chwalić
Potrafię Wisłę podpalić!“

Po czym, po krótkim namyśle,
Skoczyła i znikła w Wiśle.
Tak się skończyły przechwałki
Zarozumiałej zapałki.

— „To ci heca!“ —
Rzekła świeca.

Jan Brzechwa

Kącik rozrywkowy

ŁAMIGŁÓWKI

I

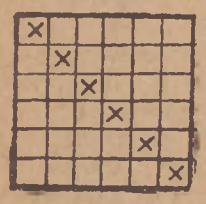

W kratki kwadratu wpiszcie poziomo sześć wyrazów. Litery, w kratkach, oznaczonych krzyżykami — dadzą rozwiązanie.

Znaczenie wyrazów: 1. Rzeka, znana z Pisma świętego. 2. Część owocu, zawierająca nasienie. 3. Część murów obronnych. 4. Ogólna nazwa materiału opałowego. 5. Przeciwieństwo początku. 6. Część drzewa pod ziemią.

II

W kratki kwadratów należy wpisać po cztery czteroliterowe wyrazy, dające się czytać zarówno poziomo, jak i pionowo.

Znaczenie wyrazów:

I kwadrat: Istota bardzo blisko spokrewniona. Oprawa obrazu. Bożek miłości. Miejsce zbiorowego handlu.

II kwadrat: Inaczej opary. Rodzaj opadu. Sprzęt służący do siedzenia. Imię męskie.

BILETY

Ł. OKO	U. WŁÓK
DORA M.	S. LIZAK
D. S. CIELE	DYGNA I.

Z biletów tych należy odgadnąć nazwy miast rodzinnych kilku kolegów i koleżanek w naszej klasie.

ZAGADKI

1. Dokuczliwą jest chorobą,
dzieciom w łóżku leżeć każe,
ale może być i rzeką,
Polska trzyma nad nią straże.

2. Pośród gąsek, kur i kaczek
postrach szczery budzi,
gdy dopiszesz doń spółgłoskę
w świat pójdzie, do ludzi.

3. Zna go Jędrek i Agnieszka,
wielki, szary, w Zoo mieszka.
Gdy dopiszesz mu dwie zgłoski,
jest największym darem Boskim.
W mieście, na wsi, czy na plaży
miłym ciepłem cię obdarzy.

4. Czasem są niebieskie,
a czasem czerwone,
wożą ludzi w mieście
w tę i tamtą stronę.

5. W tej skrzynce małej
o każdej porze
głosy ze świata
usłyszeć możesz.

6. Litera w literce
odpłacą pasterce.
Pilnowała je na hali
będzie mieć sukienkę, szalik.

7. W każdej chwili małej
przestrzega człowieka,
że czas nie przystaje,
lecz ciągle ucieka.

8. Czasem jest złośliwy,
a czasem łaskawy,
często skory do drapania,
częściej — do zabawy.

9. Ma zgrabne różki
i długą bródkę,
tłustym swym mlekiem
karmi Danutkę.

ROZWIĄZANIE Z NR 42 (49)

Zagadki:

1. Kamienie
2. Sól
3. Koła
4. Mydło
5. Dzwonek
6. Butelka

Łamigłówka obrazkowa

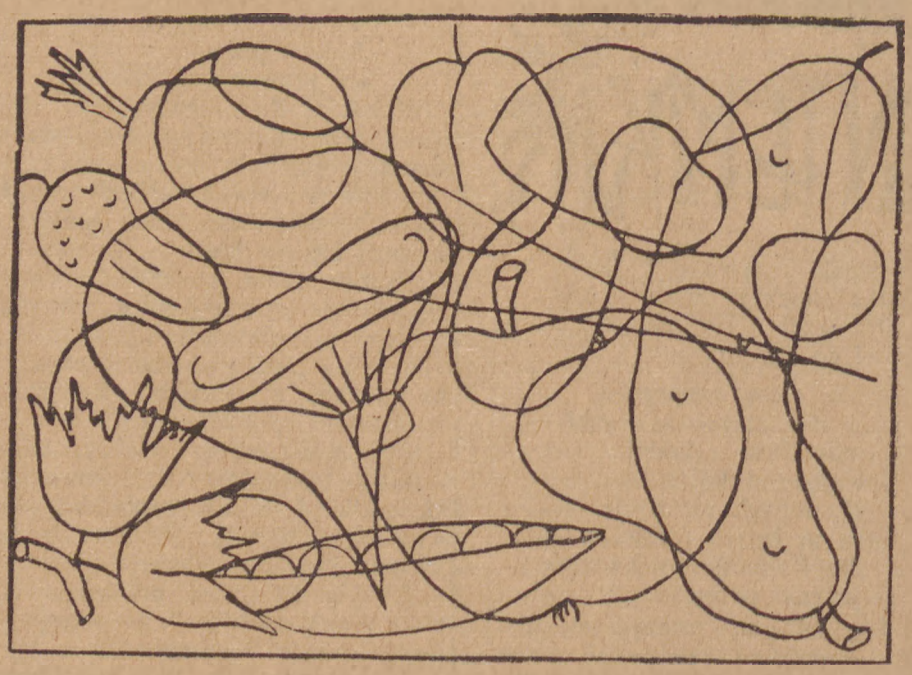

Wyliczcie trzynaście darów jesieni umieszczonych na powyższej tablicy.

Odpowiedzi Redakcji

Marysia Sołtysiak z Siedlec. Zawsze chętnie czytamy listy naszych Czytelników. Możesz nam przysłać Marysiu ten wiersz „O jesieni“, który jak piszesz ułożyłaś zupełnie sama. Pytasz, czy utwory dzieci będą drukowane. W najbliższych tygodniach zamierzamy prawie cały numer poświęcić utworom pisanym przez same dzieci. Twój wiersz jeśli się będzie nadawał też wydrukujemy.

Zosia Szczepańska z Warszawy. Masz zmartwienie, bo bardzo lubisz czytać książki, a są zbyt drogie i nie możesz, sobie pozwolić na ich kupno. Na ulicy Piusa przy Bibliotece Publicznej czynna jest bezpłatna czytelnia dla dzieci. Otwarta jest prawie cały dzień i można tam czytać książki jakich tylko „dusza zapragnie“. Zgłoś się tam i zapisz, a na pewno nie będziesz żałowała.

Jacuś Ambroziak z Narbutta. Bardzo cieszymy się, że podobają ci się historyjki obrazkowe. Szanownej Mamusi dziękujemy za miły list i za to, że tak cierpliwie objaśnia synkowi obrazki i czyta na głos „Świat Dzieci“.

Rysio Honarski ze Szczecina. Piszesz, że zostałeś przewodniczącym koła w waszej klasie i że „jesteś bardzo dumny, że będziesz miał na razie władzę“. Oj, Rysiu, Rysiu! Czy koło, wybierając Cię na przewodniczącego — dokonało właściwego wyboru!? Jak sam sądzisz? Czy chodzi Ci tylko o władzę — czy o nowe obowiązki, jakie nałożyła na Ciebie klasa? Bardzo prosimy Cię o odpowiedź.

Jurek Zawadzki w Pruszkowie. Piszesz, że chodzisz na spacery nad glinianki i że boisz się duchów potopionych. Jureczku, nie należy bać się duchów — duchy nie istnieją, są one tylko wytworem wyobraźni. Kładź się wcześnie spać, nie czytaj dużo przed snem — i poproś mamusię, żeby od razu gasiła światło. Jesteś dużym chłopcem a jaki dajesz przykład małej siostrzyczce Magdusi, która jak piszesz, „maże się i beczy“, bo tak się boi ciemności? Zobaczysz — może pierwszego wieczora będzie ci nieprzyjemnie a potem — jaki będziesz dumny ze siebie! Pokonać strach — to największe zwycięstwo.